



ZOFIA KWIĘCIŃSKA

# Pierwszy dzień w szkole

Pierwszy przyszedł do klasy Stefan. Nie z pilności bynajmniej, tylko po prostu chciał jak najprędzej spotkać się z kolegami i opowiedzieć im swoje przygody wakacyjne, a było ich nie mało.

Woźny Stanisław przywitał go ze zdziwieniem:

— Cóż się tak pośpieszył? Dopiero siódma.

— Zegarek źle idzie — burknął Stefan.

— Wam zawsze zegarki źle chodzą. To się spóźnią, to spieszą. Nie łaż mi po korytarzach, bo widzisz jak podłogę wypucowałem...

Stefan usiadł w ławce i ziewając patrzył w okno. A koledzy jak na złość nie przychodzili. „Piąta” zważyli się całą grupą i przez ścianę słyszał było gwar i trzaskanie pulpitów. Stefan jednak do nich nie poszedł. Też — żeby powiedzieli, że „smarkaczów im nie trzeba”, jak zeszłego roku. Między czwartą i piątą klasą trwała cicha wojna. Piątacy zadzierali nosa, bo starsi, u czwartaków za to było znacznie mniej dwój. A zresztą w piątej została cała grupa na drugi rok, a w czwartej tylko jeden i to się nie liczy, bo był chory przez trzy miesiące i nie mógł później dogonić.

Przyszedł Witek i od razu zaczął sobie wybierać ławkę. Strasznie był kapryśny ten Witek. Zawsze mu było to za jasno, to za ciemno, to za daleko, to za blisko. Gdyby pani na to pozwoliła, to na pewno dziesięć razy w ciągu roku zmieniałby miejsce. Teraz przesiadał się z ławki do ławki, aż wreszcie przypadła mu do gustu ta w kącie koło pieca.

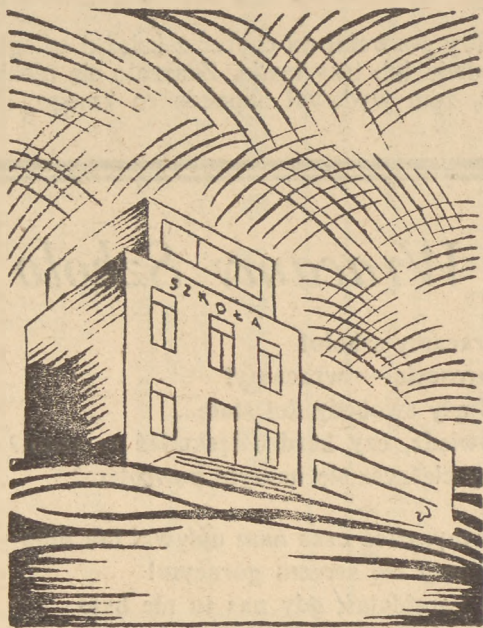
— Tu będzie najlepiej. W zimie ciepło a za piecem można i ściągawkę schować. Chcesz ze mną siedzieć?

Stefan nie chciał. Witek nigdy nie wiedział co się na lekcji dzieje, zapomniał w domu to zeszyt, to pióro, kręcił się i gadał, a zawsze potem ktoś za niego musiał oberwać. Przy tym był skarżypytą i klasa go nie lubiła.

Zegar szkolny wydzwonił pół do ósmej, potem trzy kwadransy. Teraz już bez przerwy trzaskały drzwi na korytarzu i co chwilę ktoś nowy wchodził. Jedni przycho-

dzili cicho, jakby dopiero wczoraj ze szkoły wyszli, inni już od drzwi zaczynał wiać. Stefan milczał, choć tyle ciekawego miał do opowiadania. Jego najlepszych kolegów jeszcze nie było, a przed wszystkimi papiść jak np. Franek, nie lubił. A Franek gadał z zapalem, aż mu oczy rozbiły i rumieńce wystąpiły na twarz. Całe lato spędził w obozie.

— Ale świetnie było. Obóz, to nie jakieś tam kolonie. Tam dyscyplina jest aż miło.



— Toś ty pewno codziennie miał karne dyżury — przerwał mu Ignac, bo Franek znany był z tego, że zawsze musiał się choć o minutę spóźnić i nigdy nie robił tego, co właśnie trzeba było robić. Nie był nawet leniwy, ale zawsze jakoś chciało mu się zadania arytmetyczne rozwiązać podczas lekcji polskiego, a na arytmetyce czytać książki. Taki już był.

Kazik był latem w Danii. Przywiózł cały album fotografii i widokówek. Pokazywał je kolegom, krzycząc:

— Tylko rękami nie dotykajcie. Nie poplamcie. Nie szarpacie!

Dziewczynki skupione przy oknie szepciem opowiadały sobie jakieś tajemnice. Dziewczynki zawsze mają tajemnice i zawsze szepczą, chociaż nikogo nie interesuje o czym gadają. Drugorocznicy trzymali się oddzielnie, z nieufnością patrząc na resztę klasy. A ponieważ czwartacy piątaków nie lubili z powodu ich zarozumiałości, więc nikt się nie kwapił do nich.

Wszedł Stanisław, podniósł kilka papierków z podłogi i mruknął:

— Nigdy porządku utrzymać z wami nie można. Moglibyście przynajmniej pierwszego dnia nie śmiecić.

Przed samym dzwonkiem ni z tego ni z owego pokłócił się Wojtek ze Staszkiem. Oni codziennie się kłócili i codziennie godzili i pani powiedziała, że trzeba ich sadzać w dwóch przeciwległych końcach klasy. Teraz też nie wiadomo z czego wynikła ta awantura. Byli na tych samych ławkach. Wojtek w pierwszej turze, a Staszek w drugiej. I teraz posprzeczał się o to, czy koło jakiegoś tam mytna były raki czy nie.

— Skąd ci się tam raki przysniły. Raki siedzą w mule, a tam była woda czysta, jak w szklance.

— Znasz się na rakach jak koza na winogronach. Raki właśnie lubią czystą wodę.

Z początku rozmawiali o tych rakach cicho, potem coraz głośniejsze, potem zaczęli krzyczeć, wyskoczyli z ławek i już, już pobili się, gdyby dzwonek nie zadzwonił i do klasy nie weszła pani. Wojtek zdążył tylko szepnąć:

— Ja ci jeszcze pokażę.

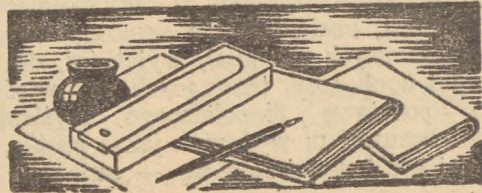
A Staszek mu odpowiedział:

— O wa, myślisz, że się ciebie boję.

Pani uśmiechnęła się, znacznie weselej, niż uśmiechała się pod koniec roku i powiedziała:

— Dzieńdobry. Widzę, że nic się nie zmieniło, Staszek z Wojtkiem kłócą się po dawnemu.

Lekcji naturalnie nie było. Bo jakże to może być lekcja pierwszego dnia. Pani dyktowała plan lekcji i jakie będą książki potrzebne a potem opowiadali sobie, jak kto spędził wakacje. Bieda była tylko z tym, że wszyscy chcieli swoje jak najprędzej powiedzieć i zrobił się harmider. Więc wreszcie postanowiono, że lepiej będzie napisać na ten temat wypracowanie. Nie takie na stopnie, ale tak, jakby pamiętnik. Potem pani najładniejsze przeczyta w klasie, a może nawet wydrukuje się w gazecie szkolnej.



BOLESŁAW PRUS

# Grzechy dzieciństwa

(WYJĄTEK)

Nareszcie w początkach sierpnia odwiedziono mnie do szkół. Egzamin zdałem wcale dobrze, po czym ojciec umieścił mnie na stacji z korepetycją, rodzicielską opieką i wszelkimi wygodami za 200 złotych i pięć korcy ordynarii na rok, i sprawił mi szkolny uniform.

Nowy strój tak mnie zajął, że nie mogąc nacieszyć się nim w ciągu dnia, wstałem cichutko w nocy, ubrałem się po ciemku w surdut z czerwonym kołnierzem, włożyłem na głowę czapkę z czerwonym lampasem i miałem zamiar posiedzieć tak kilka minut. Ponieważ jednak noc była dżdżysta, ode drzwi trochę ciągnęło, a ja poza obrębem munduru i czapki byłem w negliżu, więc trochę zdrzemnąłem się i przepalałem w uniformie do rana.

Taki sposób nocowania bardzo rozweselił moich kolegów, ale w gospodarzu naszej stacji obudził podejrzenie, że ma w domu nadzwyczajnego urwisa. Pobiegł czym prędzej do zajazdu, gdzie stał mój ojciec, i powiedział mu, iż za żadne w świecie skarby nie chce mnie trzymać na stacji, chyba — że mu ojciec dołoży jeszcze pięć korcy kartofli na rok. Po długich targach stanęło na trzech korcach, ale swoją drogą ojciec pożegnał się ze mną w tak demonstracyjny sposób, że ani żałowałem go, kiedy wyjeżdżał, ani tęskniłem do domu, gdzie częściej mogły mnie spotykać podobne owacje.

Przebieg mojej edukacji w klasie pierwszej nie posiadał żadnych wybitniejszych momentów. Dziś patrząc na owe czasy z historycznej odległości, koniecznej, jak wiadomo, dla sformowania obiektywnego sądu, wyznaję, że w ogólnych zarysach życia moje zmieniło się niewiele. W szkole trochę dłużej przesiadywałem w zamkniętej sali, w domu — trochę więcej biegałem po otwartej przestrzeni. Zmieniłem suknie cywilne na mundur, a osoby, pracujące nad harmonijnym rozwinięciem moich fizycznych i duchowych uzdolnień, zamiast dyscypliny — używali różgi.

I oto wszystko.

Szkola, jak wiadomo, dzięki swemu zbiorowemu charakterowi przygotowuje chłopców do życia w społeczeństwie i daje im takie umiejętności, jakich by nie nabyli chowając się pojedynczo. O tej prawdzie przekonałem się w tydzień po przybyciu do szkoły, gdzie nauczyłem się sztuki dawania serów, która wymaga współudziału najmniej trzech osób, a więc nie może istnieć poza obrębem społeczeństwa. Teraz dopiero odkryłem w sobie ten rzeczywisty talent, którego natura chroniła mnie od teoretycznych dociekań, popychała w kierunku działalności zbiorowej. Należałem do pierwszorzędnych graczy w palanta, bywałem matką w bitwach, organizowałem poza klasowe wycieczki, zwane wagusami, dyrygowałem w klasie ogólnym tupaniem lub beczeniem, cośmy sobie dla wytchnienia urządzali, niekiedy w sześćdziesięciu. Natomiast, znalazłszy się samotny wobec gramatycznych prawdeł, wyjątków, deklinacji i koniugacji, tworzących, jak wiadomo, podstawę filozoficznego myślenia, wnet uczuwałem w duszy jakąś pustkę, z której głębi wyruszała się — senność.

Jeżeli przy takim talencie do nieuczenia się wypowiadałem lekcje stosunkowo dość płynnie, to tylko dzięki silnemu wzrokowi,



który pozwalał mi czytać z książki odległej o dwie lub trzy ławki. Zdarzało się niekiedy, że wydawałem zupełnie co innego, niż

było zadane, lecz wówczas uciekałem się do modelowego w takich wypadkach usprawiedliwienia. Mówiłem mianowicie, że nie dosłyszał pytania, albo, że „się załapałem“.

W ogóle byłem uczniem — przyszłości, nie tylko dlatego, że budził niezadowolenie w starych rutynistach, a posiadałem sympatię młodych, lecz i dlatego, że dobre stopnie z różnych przedmiotów, a z nimi nadzieję promocji, widziałem tylko w marzeniach, wybiegających daleko poza teraźniejszość.

Moje stosunki z nauczycielami były rozmaite. Profesor łaciny pisał mi nienajgorsze stopnie za to, że pilnie uczyłem się gimnastyki, którą także on wykładał. Ksiądz prefekt wcale mi nie dawał stopni, ponieważ zasypywałem go kłopotliwymi pytaniami, na które jedyną odpowiedzią z jego strony było: „Leśniewski, idź klęczeć“. Nauczyciel rysunków i kaligrafii protegował mnie jako rysownika, ale potępiał jako kaligrafa; lecz ponieważ w jego umyśle sztuka pisania była najważniejszym szkolnym przedmiotem, więc przy głosowaniu z sobą samym przeważał na stronę kaligrafii i dawał mi jednostki, niekiedy dwójki.

Arytmetykę rozumiałem wcale dobrze, ten bowiem wykład oparty był na metodzie poglądowej, to jest „na biciu łap“ za niewagę. Nauczyciel języka polskiego wróżył mi świetną karierę, ponieważ raz udało mi się napisać mu na imieniny wiersz, obejmujący pochwałę jego surowości. Nareszcie, stopnie z innych przedmiotów, zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadałi, albo czy leżąca na porzedniej ławce książka była otwarta we właściwym miejscu.

Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczał się do w y p u k i w a n i a mnie z klasy w czasie lekcji i do widywania się ze mną po lekcjach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którymś tygodniu nie przypomniałem się jego pamięci.

— Leśniewski! — zawołał pewnego dnia spostrzegłszy, że już idę z klasy do domu. — Leśniewski!... a dlaczego ty nie zostajesz?...

— Przecież nic nie zrobiłem — odpowiadam mu.

— Jakto, więc nie jesteś zapisany do dziennika?

— Jak ojca kocham, tak nie!

— I umiałeś lekcje?...

— Kiedy mnie dziś wcale nie wyrwali!...

Inspektor zamyslił się.

— Coś w tym jest! — szepnął. — Wiesz, Leśniewski, zostań ty tu na chwilę.

— Mój złocisty panie inspektorze, przebiegaj ja nie winien!... Ja ojca kocham!... Jak Bożię kocham!...

— Aha!... przysięgasz się, ośle?... Chodźże mi tu zaraz!... A jeżeliś naprawdę nic nie zmałował, to — policzy ci się na drugi raz!...

W ogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole zrobiło popularność tym istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencji.

## Wracamy Szkoło

Wracamy szkoło!

Nareszcie — wracamy!

Minęły swobody dni złote...

Powiedz, czy bardzo tęskniłeś za nami?

Czy cieszysz się naszym powrotem?

Bo my, choć czas nam upływał tak miło —

Witamy cię sercem gorącym!

Co porabiałaś, gdy nas tu nie było przez całe dwa długie miesiące?

Co porabiałaś zwierzątką wypchaną, stojącą w gablotce oszklonej?

A stary szkolny nasz dzwonek kochany — tak długim milczeniem znudzony?

A szare ławki i tablice czarne, globusy, mapy i obrazki barwne — czy wypoczęły w czasie tych wakacyj — po roku nauki i pracy?

Gdy dzwonek znowu radośnie zawoła — że jesteś na nasze przyjęcie gotowa, że właśnie ósma wybiła godzina — i znów się nauka zaczyna — opisz nam szkoło swe letnie przeżycia, — musiały być bardzo ciekawe...

A my ci swoje — spiszemy w zeszytach, jak tylko się do ławek...

JANINA WAZŁOWA

# DWIE ROCZNICE

*Pamiętam*

**1** WRZESNIA przypada tragiczna rocznica wybuchu wojny w 1939 r. Wy, może nie wszyscy pamiętacie ten dzień, kiedy pierwszy raz zahuczały syreny alarmowe i na nasze domy i miasta spadły niemieckie bomby.

Wojska niemieckie posuwały się szybko mimo rozpaczliwej obrony ludności, bo kraju broniło nie tylko wojsko, ale i ludność cywilna. Chwytała za broń robotnicy, strzelali do maszerujących oddziałów niemieckich chłopci. Wróg zajął całą Polskę. Potem podbił i inne kraje Europy. Nastąpiły ciężkie lata niewoii. Ale walka nie ustała. Ci Polacy, którzy pozostali w kraju walczyli w partyzantce, szkodzili Niemcom na każdym kroku, psuli im fabryki, wysadzali w powietrze transporty wojska i amunicji, idące na front rosyjski. A ci Polacy, którzy byli na emigracji w Związku Radzieckim, którzy tam przez szereg lat żyli i pracowali, utworzyli wtedy na radzieckich terenach swoje własne polskie wojsko, I Dywizję im. Kościuszki. Zebrała się tam rodacy ze wszystkich stron Polski i z Mazowsza i z Krakowskiego, Ślązacy i warszawiacy i chłopci z lubelszczyzny i wszyscy jacy tylko tam wtedy

byli. Przyjeżdżali z zapadłych wiosek kirgizkich, ze stepów syberyjskich z kopalń i fabryk. Przyświecała im jedna myśl, jedna idea — walczyć o Polskę wolną i niepodległą, pomścić krzywdy swoich bliskich, których Niemcy wymordowali, pomścić swoje spalone domy i zrujnowane gospodarstwa.

Zaopotały w powietrzu biało - czerwone sztandary, na szarych mundurach zabłysły polskie orzelki. Żołnierz polski poczuł w rękach broń. Nie była jaką broń, najlepszą, najnowocześniejszą.

Nad daleką rzeką rosyjską Oką przygotowywały się polskie oddziały do walki na śmierć i życie, do walki aż do zwycięstwa ze znienawidzonym wrogiem. Dłużył się chłopakom ten czas ćwiczeń. Chcieliby już jak najprędzej iść w bój, chcieliby jak najprędzej iść, przedzierać się w krwawych walkach i trudzie na zachód, do kraju, do Warszawy, i dalej jeszcze — aż do Berlina, do samego gniazda wroga.

1 września 1943 r. I Dywizja im. Kościuszki wyruszyła na front. To był początek jej zwycięskiego marszu. Marszu przez Lenino, Chelm, Lublin aż do Warszawy i dalej na zachód

Pamiętam... często widzę we śnie miasta mojego drogie mury — i dzień, gdy pierwszy raz ponury jęk syren wojnę nam obwieścił. Pamiętam straszne samoloty i pierwsze bomby, dym, kurzawę... Zadrżały mury mej Warszawy w piękny, wrześnieowy ranek złoty. A potem dzień po dniu — i w nocy — Gwizd syren, strzały, bomb wybuchy, burzonych domów łoskot głuchy... Martwej siostrzyczki szklane oczy... Na domów świeżych rumowiskach niejeden trup się poniewierał. Groby kopaliśmy na skwerach i rosły krzyże bez nazwiska.

I nie zapomnę: pod Warszawą radziecki żołnierz bohaterski z bratem mym dzielił los żołnierski, przyjaźń zaświadczył raną krwawą.

LUDWIKA BARSZCZEWSKA



BENEDYKT HERTZ

15)

## KRZYSIA I JANEK na wakacjach

Widząc, że z chłopakami nie wiele wskóra. Krzysia postanowiła szukać pomocy dziewcząt.

A była we wsi jedna Zośka, córka komornicy. Straszny był kozak z tej dziewczyny. Pasając krowy, takiej nabrała odwagi, że nie lękała się nawet ogromnego buhaja, przed którym dorośli mężczyźni uciekali. Gdy tylko byk próbował się awanturować, Zośka zdzierała sobie z pleców szarą, podartą chustkę i wymachując nią, rozpoczynała tak wariackie skoki i taki podnosiła wrzask, że byczysko po prostu głupiało. Wybaluszał swoje wołowe gały, tracił rezon, a w końcu odwracał się na pięcie i w nogi.

— Tylko się jego nie bać — powtarzała Zośka — tylko się jego nie bać. Najgorsze bydle, a nawet najzjadlejszy pies lęka się śmiałości. Już ja wiem... oho! Mnie sam wójt krzywdy nie zrobi, bo wie, że choć wybiję, ja jego się nie boję.

Tu trzeba dodać, że odwagę dziewczyny nieźle podtrzymywał Kruczek, serdecznie do niej przywiązany kundel z czarnym podniebieniem. Z tym psem sam wójt wolał nie zaczynać, a i byk trochę się obawiał.

Do owej to Zośki zwróciła się Krzysia.

— Słuchaj, czy wierzysz w strachy na Szwedzkiej Górze?

— A bo co? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Bo mówią, że tam Boruta pilnuje ognistej korony.

— Juści, mówią.

— To bałabyś się tam pójść?...

— Phil bo to raz tam byłam...

— Co, byłaś? — zdziwiła się Krzysia. — A koronę widziałaś?

— Nie, bo ona się ino w nocy pokazuje, a ja tam we dnie bywała.

— Po ciemku lękałabyś się pójść? — zagadnęła po chwili Krzysia.

— Il cobym się miała lękać. Z Kruczkiem do samego Boruty pójde.

No i umówiły się, że następnego wieczora zwiędzą północne zbocze Szwedzkiej Góry w towarzystwie Kruczka i dwu chłopaków.

Wiadomość o tym ich postanowieniu zelektryzowała nas.

— Co takiego?... Dziewczyny chcą iść, a my, wojownicy, mamy pietra?... Wstyd!



Ale cóż, zabronić im nie może nawet wójt Bawolich Rogów.

Przez cały dzień następny trwały narady wojowników. Romek, Wojtuś i Józiek byli zdania, że lepiej z Borutą nie zaczynać.

— Zośka co innego — mówili — ona jest córką czarownicy, to jej się nic nie stanie. A chłopaka smok złapie, nogi wyrwie i Twardowskiemu na księżyc rzuci.

Daremnie staraliśmy się wraz z Jankiem wyperswadować te brednie. Wszystko na nic.

A tymczasem Krzysia z Zośką bez dłu-

gich narad ruszyły w drogę. Wicek i Stasiak we wspaniałych kapeluszach z bibułkowymi pióropuszcami i z oklejonymi srebrnym papierem patykami u boku, postępowali za dziewczętami ostrożnie w pewnym oddaleniu. W razie niebezpieczeństwa, ratowaliby na pewno przede wszystkim te swoje szabły i kapelusze.

Na samym końcu, zupełnie już nie urzędowo, szedł Janek ze mną. Obaj — jak się to mówi incognito, więc wójt Bawolich Rogów bez korony, a ja bez hetmańskiego hełmu. Prowadziła nas zupełnie prywatna cywilna ciekawość, co też z tej wyprawy wyniknie.

Robiło się coraz ciemniej, a gdyśmy przeszli wierzchołek Szwedzkiej Góry i otoczyły nas gęste tamtejsze zarośla, zaczęły ukazywać się tu i ówdzie robaczki świętojańskie. Choć wiedzieliśmy, że to przecież nie straszne, ilekroć błysnął który w powietrzu, niepokoił naszą odwagę.

Niebawem dziewczęta znikły nam z oczu, potem zapodzieiła się gdzieś chłopcy. Byłbym przysięgł, że siedli w krzakach i dali pokój dalszemu towarzyszeniu Krzysii. Gdzieś wysoko nad głowami naszymi zachichotał puszczyk, odpowiedział mu derkacz swym głosem chrapliwym. Zrobiło się strasznie.

I gdyby nie to, że nagle odezwało się ujadanie Kruczka, o którym wiedzieliśmy, że ze złymi mocami żadnych nie ma stosunków, kto wie, czy nie poszlibyśmy za przykładem Staśka i Wicka, którzy już najprawdopodobniej dali drapaka.

Zachciało mi się porozmawiać by przebrać niemilą ciszę.

— Janek...

— Co?...

— Przyjemnie, nieprawda?

— Bbbbardzo.

— I mmmnie ttakżeee.

Wtem — zamilkliśmy obaj i stanęliśmy, jak wryci.

O jakieś dziesięć czy piętnaście kroków od nas ukazała się korona ognista. Przyznaję, miałem szczerą ochotę uciec, ale nogi jakby wrosły mi w ziemię.

(Dokończenie nastąpi).

# Wiosna i WAKACJE

Nad rzeczką słoneczko,  
nad rzeczką trawa.  
Ej, byłaż to, była  
latem zabawa!

To w piłkę, to w berka,  
to szust do wody!  
Ej, były to, były  
latem przygody.

A rzeczka brzęczała,  
mruzczała sobie:

Wykąpcie się, dzieci,  
nic wam nie zrobię.  
Mam trochę kamyków  
i trawek na dnie,

orzeźwią was tylko,  
opłuczają ładnie.  
Nad rzeczką wiaterek,  
nad rzeczką listki,  
Ej, było nad rzeczką  
wesolo wszystkim.

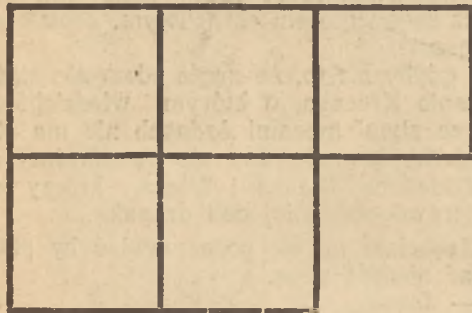
W czas słotnej jesieni,  
w czas długiej zimy  
myślami-ptaszkami  
tam polecimy.

LUCYNA KRZEMIENIECKA



## KACIK ROZRYWKOWY

UKŁADANKA ZAPALKOWA:



Z zapalek, ułożonych w pięć kwadratów (jak na rysunku) należy odjąć trzy zapalki w ten sposób, aby pozostały trzy kwadraty.

ROZWIĄZANIA Z NR 30 (90)

Rebusy:

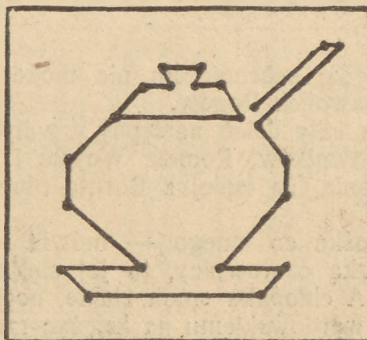
1. Woskowa lala.
2. Mama kupiła sałatę.
3. Pasę owce.

ROZWIĄZANIA Z NR 32 (92)

Zagadka:

Deszcz.

Lamigłówka kropkowa:



Oto rysunek wazy z łyżką, otrzymany przez połączenie kropek przy pomocy linijki i ołówka.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Prawidłowe rozwiązanie zagadek nadesłali:

Stasia Rymkiewiczówna, W-wa — Walenty Kozłowski, Lublin — Stefek Kurek, W-wa — Witold Zajaczek, Szczecinek — Edward Zalewski, Mrgowo — Irenka Stolarzówna, Wałbrzych — Zenuś Kochanek, Ożarów.

Opowiadania do historyjki obrazkowej z Nr 34 (94) nadesłali:

Lucyna Krogulska, Piotrków Trybunalski — Halinka Siewierska, Środa — Roman Barbara, W-wa — Henryka Knobloch, Pruszków — Wojtuś Ziętek, Lublin — Krysia Jankowska, W-wa — Staszek Łukasiewicz, Kraków — Inka Wróblewska, Kolumna — Dusia Dąbrowa, Anin — Ryszard Ziętała, Sosnowiec.

Najlepsze opowiadanie wydrukujemy w następnym numerze